

odesp
eros

CZAROWNICA

Krzysztof

Rudowski



Tytuł: *Czarownica. Księga pierwsza: Noc na Łysej Górze*

© Copyright: **Krzysztof Rudowski** 2024

© Copyright: **Wydawnictwo „OdeSFa” – Fundacja KIS** 2024

Seria wydawnicza: **OdeSFeros**

Pozycja w serii: **01**

Redaktor serii: **Jacek „Franco” Horężga**

Koncepcja, nazwa i logo serii: **Jacek „Franco” Horężga**

Koncepcja, nazwa i logo wydawnictwa: **Jacek „Franco” Horężga**

Redakcja, korekta: **Agnieszka Smugła**

Skład, łamanie, przygotowanie do druku: **Dorota Reszke**

Projekt okładki, ilustracja: **Małgorzata Gajderowicz**

Redaktor naczelny wydawnictwa: **Jacek „Franco” Horężga**

Sekretarz redakcji: **Dorota Reszke**

Żadna część tej książki nie może być powielana i kopiowana w jakikolwiek sposób i w jakiegokolwiek formie bez wiedzy i zgody Wydawnictwa OdeSFa, nie licząc krótkich cytatów oraz miniaturki okładki, użytych na potrzeby recenzji i opracowań popularnonaukowych i naukowych.

Wydawnictwo Odmiennie Stany Fantastyki „OdeSFa” e-ISBN 43341

Fundacja Kultura-Integracja-Społeczeństwo (Rok powołania – 2012)

KRS 0000438565

redakcja@odesfa.pl | www.odesfa.pl

Wydanie I **Brzeg** 2024

ISBN **978-83-67504-66-9** (oprawa miękka)

ISBN **978-83-67504-67-6** (e-book)

Krzysztof Rudowski

CZAROWNICA

Księga Pierwsza
NOC NA ŁYSEJ GÓRZE

Posłowie: Jacek Inglot

odesp
WYDAWNICTWO

 FUNDACJA
Kultura Integracja Społeczeństwo
ROK ZAŁOŻENIA 2012

JUST
eros

Część pierwsza

CZAROWNICA

ROZDZIAŁ 1

Jej dom, płot w malwach, dom na uboczu tego osiedla, zadbany, ale skromny, no i ona; inna. Ktoś twierdził, że jest artystką, malarką, lecz nikt nie widział, by malowała. Może sprawiał to jej strój; długie kiecki, niezmiennie podkreślające szerokość bioder i te dekolty, w które męska część populacji zaglądała ciekawie, wypatrując luźno puszczonej dorodnych kul, widocznych w całej okazałości, gdy choć minimalnie się nachylała.

Coś mnie ciągnęło do niej, ale zawsze poprzestawałem na „dzień dobry” czy grzecznym ukłonie. Nic więcej, ponieważ miałem wrażenie, że ona żyje sobie, a świat sobie, i może tylko te malwy, w jakimś niebywałym nadmiarze, nie dawały spokoju, powracały w snach. Krążyły opowieści, że przyjechał do niej kochanek, jakoby jakiś znany aktor, z telewizji, lecz nikt nie był pewny, czy to rzeczywiście on, czy ktoś podobny. Tak czy tak, mieszkała tu od lat, w tej miejscowości, która niegdyś była wsią, ale dzisiaj rdzennych mieszkańców było niewiele. Nikt nawet już nie pamiętał, kto mieszkał

od pokoleń, a kto uciekł z niedalekiego miasta, szukając spokoju, tęskniąc za naturą, za wygodą, wytchnieniem.

Wydaje mi się, że i ona też należała do tych, którzy osiedlili się tutaj niedawno; może tuż przed moją rodziną. Pewności jednak nie miałem, zresztą nikogo to nie obchodziło. Bardziej interesująca była jej osobność, inność, ale i uroda, choć było w okolicy sporo młodszych i piękniejszych dziewcząt. Niemniej miała w sobie jakiś powab, magnetyzm i chodziła tak lekko, zgrabnie, że trudno było oderwać wzrok. Szczególnie gdy rozpuściła włosy; ciemne, właściwie czarne, układające się w jakieś wyjątkowe krzywizny, sploty. No i ten zapach, wyjątkowo intensywny, miły, jakby rozgrzane letnim słońcem zioła na łące, może nuta lawendy i wiosennej akacji. Pozostawał długo w miejscach, które odwiedzała, na tyle długo, że mógłbym bez trudu prześledzić jej ścieżki. I nieraz się to zdarzało. Wystarczyło wtedy przymknąć oczy i widziałem te kolorowe kiecki, w wyobraźni spadające z jej dostatniego ciała, ale pod nimi następne i następne, jakby nie sposób było dotrzeć do meritum, do obiektu pożądania.

Dlaczego wybrałem się dzisiaj do tego domu w malwach, dlaczego pragnąłem przynajmniej przejść obok niego? Może chciałem dostrzec przez uchylone okno te tak bardzo pociągające piersi, których fragment tyle razy widziałem? A może to ta pora roku, ostatnie dni czerwca, przedwczesne upały, nadchodzące lato i noce, które trwały tak krótko, jakby wcale ich nie było? Noce zaczynające się w momencie, kiedy już zaraz następuje świt.

Oczekiwanie na zapowiadane w fantastycznych prognozach pogody lato pchało mnie do działania. Szczególnie że od kilku dni byłem sam, bo wszyscy przedwcześnie powyjeżdżali na wakacje, a ja ledwie wczoraj zdałem ostatni egzamin. To też działało jakoś ożywczo, jakbym dostał rozgrzeszenie po długo omijanej spowiedzi. A na dodatek ta miejscowość wydała mi się zdumiewająco pusta, tak pusta, że miałem wrażenie, iż tylko ja tu pozostałem, ja i... ona, artystka nie-artystka.

Ta kobieta, może w moim wieku, może odrobinę starsza – jakież to względne pojęcie – była nad wyraz pociągająca, ponieważ miała w swojej szczególnej postaci obietnicę doświadczenia i zmysłowości. Mnie to kusilo, budząc jakąś nadzieję, ale chyba głównie ciekawość. I to piękne ciało; usta zawsze malowane na głęboko czerwony kolor i zmysłowe kocie oczy.

Skradałem się cichaczem, wzdłuż płotu, ku oknu, w którym – gdy tylko zelżał ten czerwcowy upał – uchylono okiennice; piękne, drewniane, o atramentowym kolorze. Choć firanka, lekko wydęta delikatnym ruchem powietrza, sporo zasłaniała, coś tam było widać, bo wewnątrz zapalono lampę. Ale nie zwyczajną lampę; może lampę naftową, a może raczej jasną świecę. Tańczący płomień raz rozjaśniał wnętrze, raz okrywał je cieniem. Zdawało się więc, że wszystko tam było w ruchu.

Dłużej wpatrując się w ten falujący obraz, miałem wrażenie, że znajduję się na jakimś chybotliwym trapie statku, choć przecież miałem za sobą drzewo, którego pień dawał solidne oparcie. Co raz prze-

ciąg – z lekka, na moment – odsłaniał pełne chaotycznie rozstawionych mebli wnętrze, przyozdobione jakimiś wymyślnymi bibelotami. Ukazywały się wtedy dziwne abstrakcyjne obrazy, których znaczenia jedynie można było się domyślać. Pełne kresek układających się w krzywizny, jakby ludzkich ciał, kobiecych ciał; tych wypukłych, ekscytujących fragmentów. Ale może to tylko moja wyobraźnia budowała takie wizje. Wyobraźnia i czerwcową, ciepłą noc.

Nie było tutaj niczego, co zwykle znajduje się we współczesnych domostwach. Nie dostrzegłem ani telewizora, ani nawet radia czy komputera. Niczego, co funkcjonowało dzięki elektryczności i co generowałoby dźwięki, tak wszechobecne na każdym kroku, że ich brak wydawał się niepojęty. Lecz jakiś dźwięk słyszałem. Jakąś melodię, nuty, rytmiczność, ale dochodziły one spoza pokoju, zza niedomkniętych drzwi. Moja wytężona uwaga sprawiła, że w końcu jednak odgadłem, co słyszę: ciche nucenie, zmysłowe mormorando.

Ciemność i te dziwne dźwięki obezwładniały mnie niczym cierpliwie czekającego przy mysiej dziurze kota. Niepokoiło to wnętrze, ledwie widoczne, poruszające się w takt tańca płomienia świecy i delikatnego ruchu firanki; wnętrze, którego bardziej musiałem się domyślać, niż dane mi było ogarnąć wzrokiem. I śpiew; tak, śpiew; słyszałem czysty, z lekka przytłumiony śpiew dochodzący zza uchylonych drzwi łazienki, jeśli łazienką było jasne pomieszczenie, z którego mignął odblask luster. Miałem nawet wrażenie, że dostrzegam w tych uchylonych drzwiach cień, jakąś

postać, jej postać, ale pewny nie byłem, zresztą wszystko wydawało się jakieś wyśnione, nieprawdziwe.

Tymczasem nocna ciemność ogarniała coraz intensywniej, tak jakby nie otaczało mnie powietrze, a jakaś gęsta ciecz, której dotyk, niczym sierść zwierzęcia, czułem wyraźnie na skórze. Nagle ledwie kątem oka dostrzegłem, że uchylone dotąd drzwi otwierają się. Poczujęm, że z wrażenia powietrze zastyga mi w płucach, jakby oddech z tej przecież dość dużej odległości, mógł zdradzić moją obecność. Oczywiście długo tak nie byłem w stanie wytrzymać i nabrałem powietrza raz i drugi, aż czując zawrót głowy, stałem się bliski omdlenia. Nie dlatego jednak, że przestałem na chwilę oddychać, ale dlatego, że z łazienki wyszła ona. Ja zaś nie miałem najmniejszej wątpliwości, iż jest całkiem naga. Może ocieka wodą, może wytarła się, ale nic na siebie nie założyła, co w gruncie rzeczy było oczywiste tej ciepłej czerwcowej nocy.

Jednakże to światło i ta uporczywa firanka pozwalały dostrzec tylko zarys poruszającego się ciała, a właściwie jego przemieszczanie się. Gdy nieruchomiała, nie byłem bowiem w stanie wyodrębnić jej z tła, jakby znikiała, rozpływała się. A potem znowu jej nagie ciało, włosy rozsypujące się na ramionach i kołyszące się tajemniczo piersi.

ROZDZIAŁ 2

Do dyspozycji miałem tylko wyobraźnię, ponieważ firanka zasłaniała obiekt mojego pożądania. Dostrzegałem jedynie jakiś nieznaczny ruch i odbłask światła na gładkiej skórze zgrabnych ud, których przecież nigdy nie widziałem. Nie mogłem nawet widzieć, bo ona, ta artystka, zawsze chodziła w długich sukienkach czy rozkloszowanych spódnicach, jakby miała pod spodem kilka halek. Jakby ukrywała jakiś niepojęty skarb, coś tak wyjątkowego, że dostępu do tych miejsc broniły nieprzebyte zasieki. Teraz, gdy ich nie było, gdy uda mogły ukazać swoje zakazane tajemnice, niegodziwa firanka zasłaniała je, a w sukurs szła świeca, której blask, coraz bardziej migotliwy, rozmywał wszystko rozedrganą grą kontrastów.

Niemniej byłem pewny, że kobieta się porusza, krząta po tym dziwnym pokoju, przyprawiając mnie o coraz intensywniejsze bicie serca. Byłem bowiem przekonany, że ona wcale nie myśli o tym, by się ubrać, a dzieje się tak dlatego, że ta nagość jest do czegoś potrzebna. Wyraźnie widziałem ruchy jej dłoni krążących po ciele,

a dzięki temu mogłem wypełnić tak bardzo pociągającą zawartością wszystkie te krzywizny, jakie nimi zakreślała. Wyglądało to na sprawdzanie, czy ciało reaguje na dotyk i czy jego przyrodzone funkcje są właściwe, jakby chodziło o wypróbowanie jakiegoś skomplikowanego urządzenia przed włączeniem go na najwyższe obroty. Oczywiście ciągle były to tylko domysły, budowanie scen na podstawie niewyraźnych cieni i odbłasków.

Dostrzegłem w końcu, że kobieta wyjmuje z szuflady pudełko, otwiera je i zaczyna nacierać swoje nagie ciało dobywaną z niego jakąś maścią. Wtedy dotarł do mnie zapach, ten czarodziejski zapach, który tyle razy czułem, gdy obojętnie mijała mnie, płynąc w którejś ze swoich imponujących kreacji. Teraz czułem ten zapach tutaj, czułem go ze świadomością, że każda cząstka jej skóry rzetelnie tym zapachem została nasączona. Pojawiła się słodka nuta lawendy i woń akacji przypominającej teraz, na progu lata, o wiośnie. Wiośnie zadurzenia się, może nawet zakochania w tej niezwyklej kobiecie o niesfornych czarnych włosach i oszałamiającym zapachu.

Nie, tego nie sposób wytrzymać, muszę stąd odejść albo się ujawnić. Muszę zaryzykować, wyjść z kryjówki, przyznać się, że podglądałem (choć nic właściwie nie widząc), że potajemnie kocham, pożądam, pragnę. Że co noc widzę we śnie jej usta, oczy i to kołysanie pełnych bioder; tak ekscytujące, tak pociągające.

Poruszyłem się – może nieco nierozważnie – trzasnęła gałązka, zaszeleścił jakiś zapomniany jesienny liść. Ale to nie ja na niego nadepnąłem. Miałem wrażenie, że coś przesunęło się w pobliżu. Usły-

szalem kroki, stąpanie. Może był to pies, kot, a może jakieś dzikie zwierzę zwabione blaskiem z okna.

Nie, nie wyszedłem, nie pokazałem się. Postanowiłem, że przyjdę do niej jutro i wyznam wszystko. Tymczasem franka znowu poruszyła się, wygładziła i przez moment dostrzegłem, tym razem nieco wyraźniej, że kobieta schyla się, sięga pod kanapę i wyjmuje jakiś przedmiot. Było to coś długiego, ale chyba lekkiego, bo już zaraz trzymała to delikatnie w dłoni. I pozostawała ciągle naga. W rękę zaś dzierżyła kij, może coś grubszego, jakiś drewniany drążek, może jakiś przyrząd.

Zdaje się, że rozumiałem, o co chodzi, gdy zaczęła przemieszczać się, trzymając to coś w rękę. Poruszała się zgrabnie, tanecznie, jakby się gimnastykowała, a to by wyjaśniało wszystko; tę jej nagość, pielęgnację ciała. Musiały to być ćwiczenia, dzięki którym wyglądała tak olśniewająco i tak świeżo.

Znowu usłyszałem jakiś dźwięk. Coraz bardziej byłem pewny, że to kot, ale cień, który przemknął po powierzchni ściany domu był większy niż cień kota.

Wróciłem do obserwacji okna, ponieważ tam działo się coś, co już zaraz wprawiło mnie w zdumienie. Dostrzegłem dziwną czynność wykonywaną przez kobietę, czynność absurdalną, bowiem sięgnęła znowu do owego pudełka i nabrawszy maści, zaczęła nią nacierać drzewce tego długiego przedmiotu, który trzymała w dłoni. Nacierała tak intensywnie, rytmicznie, że skojarzenie – być może nie na miejscu, ale narzucające się samo przez się – z czymś wielce nieprzyzwoitym, było oczywiste. Poczulem, że to moje

podpatrywanie czegoś, co już zaraz może okazać się tak bardzo intymne, zaczynało być zupełnie nie na miejscu. Był to fałszywy trop. Gdy tylko cały przedmiot został pokryty maścią, ustawiła go pionowo i zastygła na dłuższą chwilę, jakby na coś czekała.

Znowu się nie wycofałem, choć kolejny raz czułem niestosowność moich obserwacji. Usiłowałem wmówić sobie, że to wszystko jest tylko wizją. W końcu w tym oknie nie było nic widać, jedynie czasem jakiś ruch, gest. Ale ona właśnie podeszła do okna, dając mi wreszcie szansę zobaczenia jej nagiej. I w tej chwili świeca zamigotała i zgasła.

Zatem koniec przedstawienia, kurtyna opadła. Ciemność objęła jednak tylko prostokąt okna, bowiem świat pogrążony był w blasku księżyca, który właśnie wypłynął na niebo w całej okazałości. W tym blasku dostrzegłem, że firanka w oknie jest już odsłonięta i mogę wreszcie zobaczyć to, co dotąd tylko sobie wyobrażałem. Piękność dojrzałej kobiecości, nagość dosadną i tak naturalną, jakby to doskonale ciało nigdy nie było ubrane. Ale blask księżyca rysował tylko kontury, zacierając szczegóły, więc patrząc na nagość, w rzeczy samej nagości nie widziałem. Zobaczyłem jednak coś tak wyjątkowego i niesamowitego, że mimo ciepła tej nocy poczułem chłód. Kobieta przemieściła trzymany dotąd w jednym ręku długi przedmiot, wsuwając go między uda, a następnie mocno uchwyciła go z przodu obiema dłońmi i siadła na nim. A ponieważ drzewce znajdowało się przynajmniej na wysokości metra, zawisła na chwilę nad podłogą. W takiej też pozycji uniosła się

i lekko poszybowała do okna, wypłynęła zeń i powoli zaczęła wznosić się coraz wyżej i wyżej. Jej sylwetka już zaraz pojawiła się na tle nienaturalnie ogromnej dzisiaj tarczy księżyca, następnie zaś pomknęła w dal. Może na górę Brocken, a może gdzieś tutaj, blisko, na samotną Sobotnią Górę, zwaną Ślężą, czy tak dobrze znaną z bajek i legend Łysą Górę w paśmie świętokrzyskim.

ROZDZIAŁ 3

Trwalo to długo, wyjątkowo długo; to szuranie, dreptanie. Przypominało sadowienie się jakiegoś zwierzęcia. Ustawalo chwilami, a następnie wzmagalo się, przyblizalo, oddalalo, ale ciemność – poniewaz niewdzięczny księżyc ukrył się – nie pozwalala nic zobaczyc.

Ciepło czerwcowej nocy bylo niczym gruba pierzyna, wiec nadal pozostawalem w swojej kryjowce, spokojnie drzemiac. Budzilo mnie jednak co chwila trzaskanie galęzi i dziwne posapywania. Pólsen, w którym tkwilem, sprawial, ze mialem wrazenie, iz wciaz jeszcze obserwuje tę kobiete, choc mialem coraz wiecej wątpliwosci, czy to, co bylo wczesniej, nie bylo snem karmionym atmosferą czarodziejskiej nocy.

Czy to wszystko, co widzialem, dzialo się naprawde, czy wysnione zostalo z mojego poządania i z moich pragnien? Wyglądajac z kryjowki, odnajdowalem bowiem okno zamknięte, zamknięte okiennicami o atramentowej barwie. A przeciez nie bylo tu nikogo, kto mógłby je zamknac. Juz nawet gotow bylem porzucic to miejsce, odejsc, dziwiac

się swoim zwariowanym pomysłem, gdy dźwięki, które od dłuższego czasu słyszałem, nasiliły się.

Już zaraz żałowałem, że nie czmychnąłem wcześniej, ponieważ odgłosy się przybliżyły, a ja poczułem, że jestem wręcz dotykany i obwąchiwany. Teraz musiałem działać szybko. Zacząłem szykować się do skoku, do susa, który pozwoliłby mi wymknąć się z gęstwiny i pobiec ku drodze, gdzie mógłbym czuć się bezpieczny. Nie zdążyłem, bo nagle coś wskoczyło na moje ramiona i przycisnęło tak mocno, że upadłem na ziemię. Miałem wrażenie, że bezkształtny ciężar przyciska całe moje ciało z taką siłą, iż poczułem zawrót głowy i na krótką chwilę straciłem przytomność.

Ile może trwać ta noc? Jak długo może trwać najkrótsza noc w roku, Noc Kupały, tego mądrego bożka miłości? Bożka, który skusił mnie do czyhania pod oknem, wypatrywania tej elektryzującej niezwykłym wyglądem kobiety o czarnych, długich i żywych niczym węże Meduzy włosach.

Tymczasem to, co mnie obezwładniło, nie zwalniało ani na chwilę uścisku, więc nie było nawet mowy, bym mógł wyrwać się i uciec. Strach za to sprawił, że od chwili unieruchomienia cały czas miałem zamknięte oczy. Ponieważ trwało to jednak bardzo długo, postanowiłem je w końcu otworzyć i skonfrontować się z nieprzyjacielem, w którego mocy się znalazłem.

Uchyliłem powieki i dostrzegłem twarz, okropną, wręcz paskudną twarz, pomarszczoną, pokrzywioną, starą; głowę okrągłą, łysawą, przytwierdzoną bezpośrednio do niewielkiego korpusu, jakby korpusu

dziecka. Odrażająca była ta postać, która – co dopiero uświadomiłem sobie po dłuższym czasie – referowała głośno moje myśli. Po prostu szeptem powtarzała to, co rodziło się w mojej głowie. Było to niezwykle przykre, szczególnie że w żaden sposób nie potrafiłem przestać myśleć, a wręcz nawet myśli się zwielokrotniły, a wszystkie powtarzał ten stwór ze złego snu.

Choć byłem unieruchomiony, mogłem jednak mówić, ale każde wypowiedane słowo stwór zbywał śmiechem, paskudnym śmiechem, odsłaniającym obmierzłą gębę z rzadkimi popsutymi zębiskami. Gdy w końcu przestał się śmiać, zaczął wyrzekać na mnie, karcić, przeklinać, nazywając mnie wstrętnym podglądaczem i obleśnikiem. Na moje bezładne tłumaczenie stwór znowu zaczął się śmiać. Tego już nie wytrzymałem i rzuciłem pytanie, kim on jest. Odparł, że zwie się Bobo. Nic mi to nie mówiło. Co za bobo? Bobo z bobasem przecież się kojarzy, a ten jest stary i paskudnie pomarszczony. Ta poczwara z piekła rodem zdawała się przecież nigdy dzieckiem nie być.

A zatem byłem w mocy Bobo, postaci bezsprzecznie należącej do fauny fantastycznej. Ale tej nocy, nocy przesilenia i marzeń, wszystko zdawało się możliwe. Nawet czas, jaki upłynął od zmierzchu, był tak długi, że ta noc już dawno powinna była się skończyć. Jakie to jednak mogło mieć znaczenie w obliczu bycia w mocy obrzydliwej poczwary, która nie pozwalała mi nawet na najdrobniejszy ruch? Kiedy na chwilę przestał powtarzać moje myśli, wyjaśnił, że krępuje mnie zaklęcie, najłżejsze z możliwych.

Mijał czas, a Bobo ustawicznie dreptał z tą swoją chmurną miną, mruczając coś pod nosem; na mój temat oczywiście. Gdy się zbliżał, słyszałem, że deliberyuje, co też ze mną zrobić, ze śmiertelnikiem, któremu zachciało się podglądać babę o uroczych oczach. Po czymś takim – jak stwierdził – nie mogłem być puszczony wolno, ponieważ odkryta została tajemnica. Na dodatek widziałem i jego.

Chwilę pomilczał i przedstawił kilka rozwiązań, łącznie z tym najsroższym, czyli zgładzeniem mnie. Niemniej domyśliłem się, że to chyba nie leżało w jego kompetencjach, choć z pewnością miał w zanadru sto sposobów uprzykrzenia mi życia. Skończyło się na decyzji o poturbowaniu mnie do tego stopnia, że przez długi czas nie będę mógł powiedzieć czegokolwiek. Perspektywa jawiła się zatem okrutna, a że wciąż byłem powalony, wprowadzenie tych złowieszczych słów w czyn byłoby dla tego pokurcza dziecięcą igraszką.

Już ujrzałem kamień w jego łapskach, wzniesiony w górę z zamiarem zgruchotania mojego nosa, gdy nagle wychynął zza chmury łaskawy księżyc. Na jego tle dostrzegłem zaś tę, która przyczyną była wszystkich perturbacji, jakie zgotowała mi Noc Kupały. Leciała z rozwianymi włosami, z cudnie kołyszącymi się piersiami i z mocnymi jak u starożytnej bogini udami, którymi mocno ścisnęła niosące ją drzewce, jakby chciała z niego soki wycisnąć.

Ten widok zainteresował najwyraźniej i Bobo przebrzydłego, bo zamarł ze wzniesionym kamieniem. Obrzydliwy uśmiech pojawił się na jego pomarszczonej

twarży, a obmierzła gęba wypowiedziała plugawe zdanie, mówiące o tym, że szatany ją rzetelnie poobracały na wszystkie strony. Mogłem się o tym już zaraz przekonać, bo przed nadlatującą wiedźmą otworzyły się okiennice, a świeca w pokoju zapaliła się sama. W jej blasku wyraźnie ujrzałem piękne ciało, piękne, ale sponiewierane do cna przez kosmatych kochanków. Ci nie omieszkali na jej skórze pozostawić śladów swoich szponów i zębisk, a u pięknych, choć skrwawionych ust dziewczyny wisiała jeszcze kropla przebrzydłego diabelskiego nasienia. Tak, kobieta wyglądała niczym kocica wracająca z nocnych pokładów z kocurami. Wymięta, z potarganą sierścią i z tym jedynym w swoim rodzaju wyrazem twarzy, jaki ma zaspokojona samica.

Patrzyliśmy więc z Bobo, podziwiając jej zszargane, ale tym bardziej chyba przez to pociągające ciało, kontemplując ten ekscytujący widok, dopóki nienawistna firanka nie zasłoniła pokoju. Wtedy spadł kamień, który miał dosięgnąć mojej twarzy. Spadł obok głowy, bowiem nie było tego, który trzymał go dotąd w dłoniach. Przebrzydły Bobo znikł, jak znikła i moja nieruchomość, moje skrepowanie. Dzięki temu mogłem wreszcie się poruszyć i dostrzec przyczynę uwolnienia: zorzę na wschodniej stronie nieba mieniącą się wszystkimi barwami rozszczepionego światła. Zdołałem jeszcze się przeciągnąć, próbując pozbyć się doskwierającego mi odrętwienia, choć już na niewiele byłem w stanie się zdobyć. Ułożyłem pulsującą gorączką głowę na kępie mchu i raz jeszcze spojrzałem na dom, który obserwowałem. Miał na powrót zamknięte okiennice.

Wszystko to czyniło wrażenie, że tej nocy nic się tu nie działo. Jedynie któraś z malw rozkwitła przedwcześnie podczas tych długich godzin.

ROZDZIAŁ 4

Pokój znajomy, jakbym widział go we śnie. Pościel, taka szczodra, pełna, okrywająca mnie niczym śnieżna zaspą; gładko, przymilnie.

Odchodził sen; ciemny, męczący; odchodził w obliczu wypełniającej wszystko jasności. Wokół zaś cisza, ale nie absolutna, raczej naturalna, oczywista; i powietrze; czyste, przesycone jakimś żywotnym, pobudzającym pierwiastkiem.

Leżałem nagi w pachnącej wiatrem pościeli. Czułem się lekki, odprężony, gotowy przyjąć życzliwie trwający już od kilku godzin dzień. Dzień jasnością wnikający do tego pokoju przez otwarte na oścież okno, za którym wisiało jasne, błękitne niebo.

Wnętrze pełne było chaotycznie rozstawionych mebli i abstrakcyjnych obrazów przeładowanych trudnymi do zdefiniowania znaczeniami. Wszystko przepojone było zaś zapachem, tym intensywnym zapachem przyspieszającym puls, wywołującym delikatną ekscytację. Wraz z nim wypłynęła na powierzchnię uroczystej ciszy melodia, cicha, ale wyraźna, znajoma. Ktoś nucił piosenkę za drzwiami, które właśnie się uchyliły. Do

pokoju weszła postać w lekkim, zwiewnym, półprzejrystym okryciu, tak idealnie pasująca do tego spokojnego poranka, jakby z niego się zrodziła. Kobieta z burzą czarnych, niesfornych niczym odrębny byt włosów, podeszła do okna. Łaskawe światło przeniknęło niczym promienie Roentgena jej strój, na moment ukazując zawoalowane półprzejrystą mgiełką piękne ciało.

Kobieta – przeświadczona, że jeszcze śpię – krzątała się cichutko, nucąc tę swoją radosną piosenkę i roztaczając ów cudowny, pełen woni ziół i kwiatów akacji zapach. W pewnej chwili dostrzegła jednak moje otwarte oczy. Podeszła do łóżka i w sposób całkowicie naturalny zapytała, czy dobrze się czuję, czy moja słabość już minęła. Na to mogłem tylko skinąć głową, bo zauroczyła mnie swoim aksamitnie brzmiącym głosem.

Znajdowałem się – nie wiedzieć dlaczego – w jej pokoju. W pokoju domu okolonego przez piękne malwy, do którego minionej nocy zawęził się świat. Ponieważ kobieta wciąż się krzątała, jeszcze kilka razy moim udziałem stała się cudna wizja pojawiająca się w momencie, gdy przecinała snop światła słonecznego bijący z okna. Oczywiście padło kolejne pytanie; pytanie, którego mogłem się spodziewać, a mianowicie, jak to się stało, że o świcie leżałem bez przytomności w jej ogrodzie. Nim odpowiedziałem, zapragnąłem się dowiedzieć, w jaki sposób znalazłem się nagi w jej łóżku. Uśmiech pięknych, lekko powleczonych czerwoną pomadką ust wiele mi nie powiedział, ale zaraz padły słowa, z których wynikało, że przytaszczyła mnie nieprzytomnego z ogrodu, rozebrała i ułożyła

w łóżku. Moje wątpliwości co do tego, jak poradziła sobie z ciężarem dorosłego mężczyzny, zbyła kolejnym uśmiechem i pikantnym żartem, że kobieta w pewnych sytuacjach zwykła wytrzymywać taki ciężar. Zaraz jednak powtórzyła swoje wcześniejsze pytanie dotyczące mojej obecności w ogrodzie, na które, pąsowiejąc ze wstydu, spróbowałem oględnie odpowiedzieć.

Wyznałem zatem, że byłem ciekawy, jej ciekawy, stąd moja wizyta w ogrodzie i patrzenie w okno. Na to usłyszałem, że przecież zawsze na noc zamyka okiennice, więc siedzenie w krzakach niewiele mi dało. Wystarczyło zapukać do drzwi i można byłoby normalnie się poznać, tym łatwiej, że już dawno zwróciła na mnie uwagę. Mam w sobie bowiem coś ciepłego, sympatycznego, a również słyszała sporo dobrych słów o mnie od sąsiadów.

Kiedy tak wesoło gaworzyliśmy, nagle zamilkła i patrząc mi w oczy, zapytała, czy nic mi się tej nocy nie śniło, ponieważ ona miała niesamowity, całkiem wyjątkowy sen. Trochę przestraszyła mnie ta nagła zmiana tonu, bo pomyślałem, że to są tylko podchody, by dowiedzieć się, czy coś rzeczywiście tej nocy widziałem. Nie czekając na jej opowieść o snach, powtórzyłem, że z zapadnięciem zmroku straciłem przytomność i nic dalej nie pamiętam. Być może to wystarczyło, bo nie drażyła tematu, tylko stwierdziła, że najwyższy czas, bym się ubrał.

Nic więcej nie mówiąc, odwróciła się i wyszła, ale wtedy stało się coś, co sprawiło, że – mimo ciepłego dnia – poczułem dotkliwy chłód. Kiedy bowiem

szła, z jednego ramienia zsunęła się jej koszula, a ja ujrzałem na śniadej skórze krwawej barwy ślad pazura.

To spostrzeżenie, tak zbijające z tropu i przywołujące wszystko to, co widziałem albo o czym śniłem minionej nocy, przerwało poranną sielankę. Chociaż ów ślad, ów właściwie jedyny znak, który miałby świadczyć o prawdziwości mojej imaginacji, był tylko małym śladem. Podczas gdy we śnie piękne ciało właściciela domu z malwami było całe poharatane i posiniaczone.

Wróciła, niosąc jakieś rzeczy przeznaczone dla mnie, ponieważ moje ubranie, umorusane do granic przyzwoitości, poszło do prania. To, co przyniosła, było czymś w rodzaju dresu, stroju do joggingu czy po prostu sportowej odzieży, pozostałej – jak przyznała – po ostatnim burzliwym uczuciu, którego znak nosiła na ramieniu.

ROZDZIAŁ 5

Ta znajomość, o której mówiła, musiała być rzeczywiście burzliwa. Zresztą to określenie zostało powtórzone jeszcze kilka razy, ale zaraz potem padły słowa: wolność i niezależność. Zapewne będące rekompensatą za rozstanie, może właśnie z tym dostrzeżonym kiedyś przez kogoś aktorem. Z tą twarzą z telewizji, która do niej, kobiety wyjątkowej urody, tak bardzo pasowała.

Kiedy założyłem to, co miało zastąpić moje brudne rzeczy, ona wdziała jakąś lekką spódnicę w barwach przypominających te szalone malwy kwitnące w lecie w jej ogrodzie. Zaś bluzka ze śmiałym dekoltem cudownie odsłoniła jej piękne ramiona. Zawiodła mnie do kuchni, takiej wiejskiej, tradycyjnej kuchni, jakich nawet tutaj – gdzie przecież kiedyś była normalna wieś – już nie dało się uświadczyc. Z drewnianymi meblami, których powierzchnia nie zaznała żadnych lakierów czy farb, z kredensem w jakieś kwiatowe wzory i stołem rzetelnym i ciężkim.

Gdy siedziałem już przy nim, a ona uwijała się, szykując śniadanie, nie mogłem oderwać od niej wzroku; tak

zgrabnej, tak zwinnej, tak pociągającej, że już nie miałem najmniejszej wątpliwości, iż znajduję się w jej mocy. Byłem zakochany, co tym łatwiej poszło, że i mnie porzuciła czas jakiś temu dziewczyna, studentka z tego samego roku. Szczupła, delikatna, która teraz, w konfrontacji z mieszkanką tego uroczego domu, jawiła się jak cień kobiety, jak dziewczynka, panienka.

Kiedy piłem miętę, przedstawiła się i wymówiła swoje imię: Eulalia. W pierwszej chwili go nie zrozumiałem, bo przecież to imię rzadkie, niespotykane; nigdy się z nim jeszcze nie zetknąłem. Zatem i ja musiałem się przedstawić, a gdy to zrobiłem, klasnęła w dłonie, ciesząc się, że dzisiaj są moje imieniny, o czym przecież zapomniałem w tej wyjątkowej sytuacji. Zapytała, czy się nie spieszę do domu. Odparłem, że nie, że wszyscy wyjechali, zostałem sam i nigdzie nie muszę iść. Byłem wolny i miałem dzień do dowolnego zagospodarowania. Spojrzała wtedy tymi swoimi ogromnymi zielonymi oczyma i głosem niskim, prawie namiętym, rzuciła propozycję, o której nawet nie marzyłem. Zapropionowała, by ten dzień, dzień moich imienin, spędzić szczególnie, ciesząc się cudowną pogodą i właśnie przybyłym latem. Widząc mój uśmiech, moją aprobatę, postawiła przede mną talerz z jajecznicą, tłumacząc, że to z jajek, które dostała od sąsiadów, od kur chadzających swobodnie po jej ogrodzie.

Chyba jeszcze nigdy z takim apetytem nie jadłem śniadania, a apetyt nie tylko dotyczył jedzenia, ale i tego, co wokół się działo. Dotyczył jej, w której – co zostało już powiedziane – byłem do cna zadu-

rzony i gdyby rzuciła propozycję, by ruszyć na koniec świata, nie wahałbym się nawet chwili.

Duszkciem wypilem zielonkawą herbatę, którą napełniła kubek po mięcie, tłumacząc, że od dawna sama zbiera zioła i robi z nich napoje. Napar Eulalii musiał posiadać jakieś magiczne właściwości, wyposażające pijących w niebywałą energię, bo po tym leniwym poranku, niczym para dzieciaków wymyślających nową zabawę, natychmiast ruszyliśmy w stronę lasu. Prowadząca tam droga okazała się dla mnie czymś nowym, ponieważ w ostatnim czasie w ogóle tu nie zaglądałem. Wcześniej, kiedy jeszcze chodziłem do szkoły, często wyprawialiśmy się tu z kolegami, by odprawić dzikie harce, ale nigdy nie zapędzaliśmy się zbyt daleko, bo wymagałoby to większej ilości czasu, a z tym – jak to w erze komputerów – zawsze było kiepsko. Dzisiaj – na szczęście – żadne urządzenia elektroniczne nie wiązały nas z zegarem. Bliscy powyjeżdżali na wakacje, koledzy hasali gdzieś w górach, a Alicja, moja była dziewczyna, wygrzewała się na plaży na południu Europy z nowym chłopakiem. Ja zaś byłem w mocy pięknej Eulalii, zamiatającej tą swoją zalotną kiecką wysokie trawy łąki.

Nie muszę chyba mówić, co działo się o tej porze roku w przyrodzie. Poczynając od skowronków wiszących tak wysoko, iż trudno było je dostrzec, a kończąc na braci owadziej, na czele z wszędobylskimi konikami polnymi, które przy każdym naszym kroku wyskakiwały spod nóg na wszystkie strony świata. Idąc tak przy niej, przy pięknej Eulalii, miałem wrażenie, że wiedzie mnie boginka sprawująca

pieczę nad tym radosnym, wiosennym światem. Ta opieka rozciągała się i na mnie, ponieważ gdy wchodziliśmy w jakąś gęstą kępę traw, jej ręka wyciągała się w moją stronę, co skrzętnie wykorzystywałem, z przyjemnością ujmując ciepłą, małą, ale i silną dłoń.

Gdy stanęliśmy przed pierwszym drzewem, Eulalia zbliżyła się do pnia, położyła na korze dłonie i coś wyszeptwała. Następnie przytuliła się do szorstkiej powierzchni, jakby chciała przejąć jakąś tajną energię. Wtedy zaśmiała się i wypowiedziała niezrozumiałe słowa. Na moje pytanie, co one znaczyły, odparła, że zna mowę drzew, a dzięki temu mogła poprosić las o życzliwe przyjęcie intruzów.

I nagle to, co normalnie wydawałoby się żartem, zdało mi się oczywistością do tego stopnia, iż sam zbliżyłem się do drzewa i położyłem na korze dłonie. Eulalia szepnęła, że teraz jesteśmy zjednoczeni z siłami natury i tak naprawdę niewiele potrzeba, by poczuć je w sobie i wokół siebie. Kiedy to mówiła, przez chwilę miałem wrażenie, że dotyczy to moich wizji z ostatniej nocy, ale Eulalia wskazywała na coś w gęstych zaroślach. Gdy spojrzałem, zdumiony dostrzegłem jakieś wielkie, błyszczące oczy, wpatrujące się we mnie z niezwykłą uporczywością. W pierwszej chwili pomyślałem, że to sarna, która być może nie spłoszyła się dlatego, iż zachowywali się nadzwyczaj cicho. Myliłem się, bo były to oczy należące do jakiejś nieznannej mi istoty o ludzkiej postaci, ale w obrysie jakby nieostrej, zamglonej. Włosy długie, gładkie, swobodnie rozpuszczone i nagość, tak doskonale wpasowana w liściastą scenerię lasu.

Wystarczyło, by trzasnęła jakaś gałązka, a postać znikła, a może na powrót przemieniła się w sarnę, którą była w rzeczywistości. Eulalia, widząc moje zdumienie, zapytała, czy po raz pierwszy widziałem rusałkę; a ja nie wiedziałem, czy żartuje. Na moje pytania usłyszałem tak dobrze znany mi śmiech. W końcu padły słowa o tym, że las dla cierpliwych ma prezenty, ukazuje im swoje bogactwo i pozwala dostrzec to, o czym się marzy, śni, czego się pragnie.

ROZDZIAŁ 6

Wróciło wspomnienie ostatniej nocy; snu, a w nim tej przeklętej postaci, w której mocy się znalazłem. Zapytałem Eulalię, czy wie, kto to jest Bobo. Tym razem nie zbyła mojego pytania śmiechem, tylko rzeczowo wyjaśniła, że w czasach dawnych wierzono, iż jest taka istota sprawująca pieczę nad czarownicami. Ale tak on, jak i wiedźmy mają nad sobą jeszcze królową Wilę, która potrafi przywołać do porządku rozbestwione stwory, gdy na zbyt wiele sobie pozwalają. Mówiła to w taki sposób, jakby cytowała czyjś wykład czy przytaczała encyklopedyczne hasło, ale zgodność tych wyjaśnień z tym, co usłyszałem ostatniej nocy, była zbyt wielka, abym poczytał to za przypadek. I już-już miałem zażądać od Eulalii dalszych wyjaśnień, kiedy wyszliśmy na polanę, której wszakże z dawnych bytności w lesie nie pamiętałem.

Na polanie dostrzegłem zaś domek, chatkę, trochę dziwną, w starym stylu, jakby zbudowano ją ze sto, a może i dwieście lat temu. Eulalia położyła palec na ustach i pociągnęła mnie na powrót w gęstwinę, jakby bała się tego miejsca. Gdy jednak tylko się odwróciliśmy, drogę zastąpiła nam jakaś dziwna

kobieta z rozwianymi siwymi włosami, której nigdy w naszych okolicach nie widziałem. Musiała być bardzo wiekową osobą, bo jej twarz pokrywała tak gęsta sieć zmarszczek, że nie dało się znaleźć nawet skrawka gładkiej skóry. Ubrana była w sfilcowaną wełnianą suknię, tak grubą, że niepojęte było, iż przy letniej pogodzie można na siebie coś takiego założyć.

Spojrzałem na Eulalię pytająco, a ta wzruszyła tylko swoimi pięknymi ramionami, jakby chciała mnie w ten sposób przeprosić za to nieoczekiwane spotkanie. Starucha najwyraźniej dobrze znała moją towarzyszkę, bo zwróciła się do niej po imieniu, zachrypniętym, ale dość wysokim głosem. Eulalia odpowiedziała krótko i – przynajmniej dla mnie – niezrozumiale. Natychmiast skierowała się w las, ale wtedy dojrzałem na jej twarzy wyraz bólu, jakby ukuła się kolcem jakiegoś nieoczekiwanie stojącego na naszej drodze krzewu. Dziwna kobieta z lasu, której imię, a może nazwisko, było równie odstręczające jak jej wygląd – i brzmiało Krupa – wskazała na domek, a Eulalia, choć wyraźnie marszczyła brwi na znak sprzeciwu, natychmiast pociągnęła mnie w tamtą stronę.

Abyśmy mogli wejść do wnętrza tej pokracznej chałupki, starucha musiała odryglować jakieś przedpotopowe zamki, nad którymi zmówiła modlitwę o szczęśliwe otwarcie. Nareszcie drzwi otworzyły się, a ze środka dobiegła nas woń dymu, jakichś suszonych ziół, ale i odór spleśniałego sera. Do mrocznego wnętrza zostaliśmy właściwie wepchnięci

i nim nasze oczy przyzwyczyły się do ciemności, drzwi zamknęły się za nami z łoskotem.

Ciemność, oszałamiający zapach, a może raczej fetor, jakaś niepewność, strach, a poza tym dziwne dźwięki dochodzące ze wszystkich stron. Z kąta dobiegało syczenie i bulgotanie, i tam w końcu cokolwiek zobaczyłem, bo było to palenisko z żarzącymi się węgielkami, dające nieco blasku. Jedno było pewne, że w tej chacie brakowało okien. Kiedy zapłonęła świeca, dostrzegłem wzrok Eulalii; spojrzenie, którym uciekała przede mną. To zmarszczenie pięknych brwi nie wróżyło nic dobrego.

Tymczasem Krupa naląła do kubków trochę parującego płynu z saganka ustawionego nad paleniskiem i postawiła je przed nami na niemiłosiernie wytartym stole ze starych dech. Kiedy przy nim usiedliśmy, mogłem lepiej rozejrzeć się po tym odstręczającym wnętrzu, gdzie wszystkie sprzęty warte były tego stołu; równie stare i zdezelowane, jakby przystosowały się do wyglądu właścicielki. W głębi, gdzie było nieco ciemniej, niewyraźnie dojrzałem na półkach słoje, może z przetworami, choć w ich półprzezroczystym wnętrzu nie było raczej dżemów czy przecierów. Niżej stało kilka ksiąg, może manuskryptów, zdecydowanie leciwych i wyświechtanych od ciągłego przeglądania. Na samej górze zaś ustawiony był wypchany kruk, wyglądający paskudnie, bo prawie dokumentnie wyliniały.

Podczas gdy rozglądałem się po wnętrzu, kobiety zaczęły ze sobą rozmawiać. Czyniły to jakoś powściągliwie, półsłówkami, niedopowiedzeniami, więc niewiele z tego dialogu mogłem pojąć. W końcu

załapałem, że chodziło o jakieś spotkanie, zgromadzenie, o które wypytywała starucha. Gdy Eulalia zaczęła dokładniej tłumaczyć, Krupa uśmiechnęła się tak, jakby owa relacja była sprawozdaniem z jakiejś bajecznej podróży w miejsca, w których i ona niegdyś bywała. W końcu wskazała na stojące przed nami kubki i choć czuła, że nie bardzo mamy ochotę raczyć się tym specyfikiem, zachęciła nas do skosztowania. Prawie natychmiast po wypiciu pierwszego łyka poczułem w skroniach silne pulsowanie i taką lekkość jak po alkoholu czy dobrej gandzi. I nagle to wewnątrz i towarzystwo odrażającej Krupy przestało być nie mile, tym bardziej, że tuż obok miałem gładkie ramiona Eulalii.

Ale właśnie wtedy stara zapytała ją wprost, kim jestem. Zgodnie z prawdą odpowiedziała, że mieszkamy w tej samej miejscowości. Krupie to nie wystarczyło, bo najwyraźniej próbowała dociec, czy nie łączy nas coś więcej, a przede wszystkim, czy ja wiem, czym Eulalia się zajmuje. Moje wyjaśnienia zostały zignorowane, kobiety zaczęły zaś rozmawiać ze sobą coraz ostrzej, tak że właściwie doszło między nimi do kłótni. Trudno było mi ją śledzić, ponieważ napój działał coraz intensywniej, sprawiając, że niezbyt wyraźnie wszystko widziałem. Tymczasem gesty Krupy stały się nieprzyjemne, wręcz złowrogie, a gdy uniosła coś, może pogrzebacz, może jakąś różgę, miałem wrażenie, że chce uderzyć Eulalię. Spróbowałem ją odciągnąć za trzymaną pod stołem dłoń, ale poczułem taki ból, jakby przejechały mi po ręce pazury. Wtedy nagle wróciła mi pełna świadomość. Jednocześnie zapadłem w ten

dobrze znany stan niemocy i kompletnego unieruchomienia, jaki opanował mnie nad ranem w ogrodzie.

W tym momencie drzwi chaty się otworzyły i stanął w nich ten pokurcz z paskudną gębą, Bobo. Krupa powitała go z satysfakcją, oznajmiając, że Eulalia sama przyprowadziła wścibskiego człowieka, więc teraz mogą zrobić z nim to, na co tylko mają ochotę...